

„Byle halny nie zwał jej z nóg”

O Mojej Babci trudno napisać na kilku kartkach. Góralka z Chicago, Polka na Wschodzie, Matka z Sybiru, rolniczka w PRL-owskiej rzeczywistości, babcia trzymająca rękę na pulsie życia całej rodziny. Uparta, wymagająca, pracowita, kochająca rodzinę i życie.

Góralka z Chicago

Urodziła się w Chicago, w polskiej rodzinie górali podhalańskich. Kiedy miała pięć lat, jej tato zginął w kopalni. Najmłodszą z trzech córek mama przewiozła przez ocean i powierzyła na wychowanie bezdzietnemu wujostwu z Budzowego Wierchu w Murzasichlu koło Zakopanego.

Babcia nigdy więcej nie zobaczyła swojej mamy. Nie wróciła do Ameryki. Opowiadała często o podróży przez ocean statkiem „Batory” i o choince z pięknymi światełkami w Chicago. Tylko tyle zapamiętała z amerykańskiego snu. Ale nie czuła żalu do mamy, czy losu, który z Chicago zaprowadził ją na Podhale. Całe życie czuła się góralką, choć i pod wierchami długo nie było jej dane zagrać miejsca. Miała w sobie tę twardość, hardość góralskich przodków. Byle halny nie zwał ją potem z nóg.

Pierwszy dom za Bugiem

Sentyment do Podhala, góralskich zwyczajów i muzyki pozostał w niej na zawsze. Nie mówiła tylko, czy jako kilkunastoletnia dziewczynka chciała wyjeżdżać na Wschód, w tarnopolskie. Wujostwo kupiło tam duży folwark i ziemię. Pojechała z nimi do Bokowa, szukać szczęścia na nowej ziemi. Tam poznała legionistę Wojciecha. Na wojnę wyruszył z Podhala, za służbę u Piłsudczyków dostał kawał ziemi za Bugiem. Pobrali się w 1922 roku. Pierwszy dom, skromny, drewniany, dziadek zbudował sam. Dom stanął na wzgórzu, w Kaszczówce Podhalańskiej. Tak nazwali osadę pod Bokowem podhalańscy emigranci.

Babcia gospodarowała z dziadkiem na Wschodzie, ale na Podhale, tym razem do Jaszczurówki, jeździła w sezonie pomagać wujostwu w prowadzeniu pensjonatu i knajpy. To tam nauczyła się piec pączki, które w karnawale pojawiały się na naszym stole niemal do końca jej dni. Czy ziemię na Wschodzie uznała za swoją? Na pewno jej udziałem była

ciężka praca na gospodarce i chwile radości. Podobno w Bokowie babcia Bronia była pierwszą tancerką we wsi. Tam urodziła sześcioro dzieci. Tam jedyny raz odwiedziła ją starsza siostra z Ameryki. Do rodzinnych opowieści należy obraz – wspomnienie, jak babcia wynosiła przed dom w Kaszczówce Podhalańskiej miednicę, rozplatała długie do kolan i gęste włosy siostry i partiami je myła... Nigdy więcej nie zobaczyła siostry, nie dostała od niej listu. Wojna zerwała rodzinne więzi. Kiedy po wielu latach, w wolnej Polsce, mogła uzyskać obywatelstwo amerykańskie – odmówiła.

W Kaszczówce Podhalańskiej stanął dom babci Broni. W Kaszczówce Podhalańskiej spłonął dom babci Broni.

Saniami na Sybir

Nie widzieli, jak płonął dom. Słyszeli tylko ryk bydła, schowani w lesie. Ukraińcy podpalili chałupy w osadzie jesienią 1939 roku. Zostali bez dobytku. Uszli z życiem. Pod dach przyjęła ich Ukrainka, u której babcia była chrzestną. Kiedy i tam zrobiło się niebezpiecznie, zamieszkali w opuszczonej organistówce.

W nocy 10 lutego 1940 roku dwóch „enkawudzystów” stanęło w drzwiach z karabinami. Nie pozwolili spakować nawet prania rozwieszonego w izbie. Dziadek chwycił tylko pierzynę, która potem, w drodze, uratowała ich przed zamrożeniem. Samochodami dojechali do Tarnopola. Razem z innymi zostali wtłoczeni do wagonu towarowego: z pryzkami po bokach, piecykiem - kozą i toaletą - dizurą wyciętą w podłodze pośrodku. Nikt z rodziny nie zapamiętał, jak długo jechali na wschód. Czasem na bocznicach stali i trzy dni. Raz dziennie rozsuwały się drzwi i żołdacy wnosili wiadro z wodą, drugie – z zupą. Dzieci ratowały się...soplami, które zwisały z okienka i przez kratę można je było lizać jak lody. W Krasnojarsku wraz z ciuchami wyrzucili wszy. Nowe kufajki odmierzyły kolejny etap drogi: samochodami do Jenisjejska, dalej kilka czy kilkanaście dni – nikt nie liczył - saniami. Wiecznie pijany woźnica powoził czwórka koni. Jedna rodzina – jedno sanie czyli płozy ze zbitymi deskami i sianem. Dziadek przytomnie owinął babcię i dzieci pierzyną, przywiązał do sań sznurem. Sam stał na płozach: kiedy sanie się przewracały, balansował je ciałem. Z sań za nimi wypadło dziecko. Woźnica się nie zatrzymał. Babcia Bronia na Sybir zawiozła pięcioro dzieci. Wszystkie przeżyły.

Pierwsze dwie zimy babcia Bronia z rodziną spędziła w barakach w tajdze. Pracowała w

lesie przy obróbce drzew. Dostawała po 30 g chleba na dziecko. Dziadek kradł owies przeznaczony dla koni, nocą pod pierzyną mielili owies, który gotowali z wodą na kozie. Kiedy w Sielcach tworzyło się wojsko polskie, dziadek uciekł. Przeszedł 300 km przez tajgę. Zaciągnął się do wojska. „Tylko pamiętaj Broniu, niczego nie podpisuj” - powiedział odchodząc.

NKWD wzywało babcię kilkakrotnie. W baraku pięcioro dzieci zostawało samych. Babcia Bronia obywatelstwa rosyjskiego nie podpisała.

Przenieśli babcię w inne miejsce. Tam razem z dziećmi kopała i płukała złoto. Pod koniec dnia odmierzano grudki złota na wadze: w zamian babcia dostawała dla dzieci rybę suszoną, mąkę, kawałek chleba. Latem – za radą miejscowych - szukała w tajdze roślin leczniczych, lecząc dzieci z kurzej ślepoty i szkorbutu.

Do Zagłębia Donieckiego, gdzie przewieziono babcię z dziećmi, płynęli barką ciągniętą przez konie idące brzegiem rzeki. Tam było już lepiej. Dostali własny barak, z własnym piecykiem - kozą. To nic, że podłoga gliniana. Babcia pracowała z dziećmi w sowchozie przy uprawie warzyw, potem na nocki w piekarni. Każdej nocy najstarsze dzieci podchodziły pod okienko piekarni, babcia ukradkiem wyrzucała im chleb. Na polach kradli cebulę, pomidory, arbuzy. Mieli co jeść.

Ziemia Obiecana w Szarocinie

O końcu wojny babcia usłyszała z ryczących na cały swochoz „kołchoźników”. Do Polski wróciła z dziećmi przed Wielkanocą 1946 roku. Dopiero tutaj dowiedziała się, że dziadek żyje, dostał poniemieckie gospodarstwo w Szarocinie pod Kamienną Górą. Pierwsze święta spędzili razem z ... niemieckimi gospodarzami. Czy pokochała Ziemię Obiecaną? We wsi musiała pierwsza mieć zebrane ziemniaki, pierwsza rozpocząć żniwa. Była też pierwszą we wsi akuszerką. Bez pracy nie potrafiła żyć. Bieliła chałupę, raz w miesiącu wyrzucała meble przed dom i zarządzała wielkie sprzątanie, w polu żaden z synów nie mógł jej dogonić. Dziadek, niezwykle mądry człowiek, ze spokojem znosił jej „rządzenie”. Kiedy nie mógł wytrzymać „gderania i rządzenia babci”, zamiast się kłócić, brał kaszkiet wiszący zawsze koło drzwi i szedł w pole.

Siedmiohektarowe gospodarstwo wystarczało na tyle, aby wypełnić PRL-owski obowiązek

oddawania „kontygentu”. Babcia, żeby zarobić trochę grosza, dwa razy w tygodniu brała worek z ziemniakami, jajkami i serem na plecy, a do rąk dwa baniaki z mlekiem i przez góry – Przełęcz Kowarską - na piechotę chodziła do Kowar sprzedawać towar. Za zaskórniaki kupiła najstarszej córce materiał na sukienkę i buty na obcasie na bal maturalny, kiedy ta kończyła liceum pedagogiczne.

Ciepliczanka prawie 40 lat

Kiedy w 1961 roku umarł dziadek, mój tato zabrał babcię i najmłodszego brata do siebie, do Cieplic. Nie czuła żalu, opuszczając gospodarstwo. Tak naprawdę chyba nigdy nie pasowała do tej roli.

Babcia wychowała mnie i moje dwie siostry. Zawsze w biegu. Mała i krucha posturą, góralka z Chicago, nie miała taryfy ulgowej dla siebie i bliskich. Wymagająca, z uporem dążyła do lepszego życia, nie użalając się nad tym, co straciła wcześniej. Krzywym okiem patrzyła w zeszytach na... piątkę z minusem („dlaczego ten minus?”), zimą robiła lody... kręcąc w śniegu baniakiem, mocząc grzebień wodą czesała mnie i siostry gładko w koński ogon, krochmaliła sukienki i prowadziła na majówki. Na obiad każdemu z rodziny potrafiła gotować inne ulubione dania. Na tydzień przed świętami makowce musiały leżeć równiutko na szafie. Rozkwitała w towarzystwie rodziny. Wiedziała dokładnie, co słytać u każdego wnuka czy prawnuka, jaką kto ma sympatię, co nowego w polityce, jaka moda obowiązuje aktualnie wśród młodych. Nawet „sukienkę trumienną”, którą zawsze trzymała w szafie „w razie czego”... zmieniała co kilka lat, szyjąc według nowszego kanonu mody. Mobilizowała nas do nauki i ciekawości świata. Dotrzymywała kroku życiu nawet wtedy, kiedy już była bardzo chora. Nie mogła chodzić, ale każdego ranka kazała się ubierać, czesać i wstawała z łóżka. Umarła 2 grudnia, dzień przed swoimi 97 urodzinami. Upadła, wychodząc z łóżka, jakby raz jeszcze chciała oszukać śmierć.

My wszyscy, cała rodzina, jesteśmy z babci Broni. Dzięki Niej, byle halny nie zwała nas z nóg.

Małgorzata Potoczak-Pełczyńska